

## Muzy czasu wojny

# To było nasze żołnierskie zadanie

Prysłowie mówi: W czasie wojny milczą muzy. Historia zna jednak przykłady zaprzeczające tej prawdzie. Otow samym środku drugiej wojny światowej, gdy nad Oką formowała się I Dywizja Wojska Polskiego, narodził się teatr niezwykle, który po wojnie zapoczątkował cały bujny ruch sceniczny.

Czy twórcy i wykonawcy mieli wtedy poczucie misji dziejowej, głównych ról, jakie przypadły im w udziale. Jak po latach widzi tamte czasy znakomita aktorka RYSZARDA HANIN, dla której było to pierwszym zetknięciem się ze sceną, decydującym o wyborze drogi życiowej?

Oddajmy głos tej znakomitej dziś aktorce.

**Z**YJAC dniem codziennym, nie ma się świadomości uczestniczenia w historii. Wszystko wydaje się naturalne. Samo założenie teatru nie było aktem spontanicznym. Rzadko przypisuje się zasługi administracji. Faktem jednak jest, że nasz teatr został powołany do istnienia rozkazem wojskowym. Uznano po prostu, że jest to sprawa ważna, potrzebna żołnierzom-tulaczom, przybywającym z różnych stron do Dywizji Kościuszkowskiej. Organizację potwierdził Leonowi Pasternakowi, który był raczej tym rozkazem zaskoczony. Nie miał żadnych doświadczeń w tej materii. Liczył na wojskową tylko działalność. Rozkaz w wojsku jest jednak rozkazem. W miarę sił zaczął organizować zespół — szło mu to dość trudno.

Wytłuskiwał młode dziewczęta i chłopców, nadających się, jego zdaniem, na scenę. Zbyt wysokich kryteriów, co zrozumiałe, nie stosował. Wybranych przynosił rozkazem do jednostki teatralnej. Ja zostałam przeniesiona z batalionu fizylierek. Wszyscy mieliśmy podobne odczucia jak Leon Pasternak. Przyszliśmy do wojska z myślą, że będziemy walczyć z bronią w ręku. A tu każą nam iść w komedianty. Mieliśmy na początku prawie kompleksy, że znaleźliśmy się w służbie pomocniczej, na drugiej linii, chociaż musztra się ostała tak, jak w każdej innej jednostce, i mieliśmy broń.

Ale już po pierwszym spektaklu mogliśmy się przekonać, że ten teatr jest nieodzowny. Zetknięcie się z czystym słowem polskim w formie wierszy, pieśni, wywarło ogromne wrażenie na żołnierzach. Staliśmy się potrzebni jak chleb codzienny. Nie spodziewaliśmy się, że piosenki, pisane na doraźny użytek niejako, jak „Płynię Oką” czy „Marsz I Korpusu”, staną się hymnami. Zasmakowaliśmy w tym wszystkim jeszcze bardziej, gdy zjawili się w naszym teatrze wspaniałe człowiek, aktor, reżyser i organizator Władysław Krasnowiecki. Z wielką chęcią przekazał mu pałeczkę Leon Pasternak, który stał się jednym z trzech naszych nadwornych autorów, obok Adama Ważyka i Lucjana Szenwala.

Przez jakiś czas traktowałam teatr jako przygodę w życiu. Sprawy wojenne mieszały się z artystycznymi i trudno je było rozgraniczać. Przyjmowano nas od początku — już w Sielcach nad Oką — czule i serdecznie. Staliśmy się, jak by się to powiedziało dsięjszym językiem, idolami.

W miarę działań wojennych nasze granie było obsługiwaniem ludzi walczących pod ostrzałem, pod nalotami lotniczymi. Czasem docieraliśmy do jednostki na katuszach. Nieraz detonując przerywały nasze spektakle. Graliśmy w szpitalach i lazaretach. Teatr to było nasze żołnierskie zadanie, spełniane w warunkach bojowych, polowych. Dawaliśmy chwilę oddechu, możliwość oderwania się od głównej nurtującej myśli, jaką była wojna, higienę psychiczną. Niepowtarzalność naszego teatru determinował czas, warunki, okoliczności.

Nigdy nie zapomnę jednej ze scen, bodaj na Smoleńszczyźnie. Z odległego lazaretu otrzymaliśmy rozkaz, aby zjawili się konkretna grupka aktorów z konkretnym programem. Był to prawie koncert życzeń. Szczególnie chcieli usłyszeć to, co niedawno oglądali dwaj oślepi żołnierze. Można sobie wyobrazić w jakim nastroju, z jak zaciśniętymi gardłami przedstawialiśmy fragmenty z „Bału u saperów” Pasternaka i „Sukmanę kościuszkowską” Ważyka. Trudno to nawet nazwać występem.

Głębsze i dojrzsze refleksje zaczęły mnie nachodzić przy pierwszych zetknięciach z publicznością cywilną w Chełmie, Lublinie. Poraziła nas waga tego, co robiliśmy w odczuciu tych ludzi, fakt, że to, co przynosiliśmy, był czymś tak ważnym, przejmującym w odbiorze. Zrozumieliśmy lepiej znaczenie słowa: odpowiedzialność. Chyba właśnie wtedy zastanawiałam się nad tym, co może dać i co może nieść ze sobą zawód aktorski. To był rodzaj misji.

Po tym grantu dla swoich, dla żołnierzy, a więc prawie rodzinnym, gdy weszliśmy na ziemię polskie, musieliśmy stanąć przed tymi, którzy nas nie znali, nic o nas nie wiedzieli. Byliśmy nieraz pierwszymi żołnierzami, z którymi się zetknęli. I nagle, gdy wybuchał strumień polskiego słowa, pieśń, wytwarzała się aura jakiegoś wielkiego święta, atmosfera o takim natężeniu emocjonalnym, jakie nie mieści się w pojęciu normalnego spektaklu. Osiągnęliśmy, mimo woli, to współczesnictwo, o którym marzy, do którego dąży Jerzy Grotowski.

Teraz, pracując w zawodzie aktorskim, staram się dać ludziom odpoczynek, uśmiech, sposobność do przemyśleń. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że nie są to tak wielkie odczucia, z jakimi spotykaliśmy się w tamtych wyjątkowych czasach. Jest to etap życia zamknięty. Chociaż... stale jeszcze spotykam wojskowych w różnych rangach i cywilów, którzy przypominają mi ślady tamtych czasów. Zapraszają mnie Platerówki — z batalionu kobiecego fizylierek. Dowiaduję się, ile ten teatrzyk dawał im radości i warunków.

Przypominam sobie czasem scenkę z „Ławki w Łazienkach” Ważyka, jej fragment „futurolologiczny” z roku 2000. Wypytywałam, jako wnuczka, weterana Dywizji Kościuszkowskiej (grał go Władysław Krasnowiecki) o historię tej dywizji. Teraz mnie pytają.

Notowała

BARBARA HENKEL



„Studencka Wiosna”

Fot. A. PĘCZALSKI



CAF